

WIELKA KSIĘGA

baśni i legend



**WIELKA
KSIĘGA
BAŚNI
I LEGEND**





WSTĘP

Książka, którą trzymasz w ręku, łączy w sobie rozmaite opowieści. Znajdziesz w niej tradycyjne, znane na całym świecie baśnie braci Grimm i Charles'a Perrault, oraz niezapomniane, magiczne historie pióra Hansa Christiana Andersena, na których wychowało się już wiele pokoleń dzieci. Obok nich – kilka mądrych i ciepłych współczesnych bajek, których autorką jest Grażyna Nowak. Ilustracje do wszystkich bajek i baśni wykonał Jarosław Żukowski. Oprócz zbioru baśni w książce umieściliśmy popularne polskie legendy – o królu Popielu, bazyliisku, panu Twardowskim i wiele, wiele innych. Uzupełniają je ludowe podania, które w mityczny sposób wyjaśniają istnienie niektórych polskich miast, rzek czy gór. Legendy i podania zostały opracowane literacko przez Elżbietę Safarzyńską, a zilustrowane przez Artura Janickiego. Zapraszamy cię w fascynującą podróż do niezwykłego, baśniowego świata, w którym wszystko jest możliwe...





**NAJPIĘKNIEJSZE
LEGENDY
POLSKIE**

PAN TWARDOWSKI

Dawno, dawno temu żył pewien szlachcic Twardowski. Był to człowiek niesłychanie mądry, pracowity i niezwykle ambitny. A kiedy postawił coś sobie za cel, nic go od tego odciągnąć nie mogło. Był też dobrym człowiekiem i w swojej pracowni na krakowskim rynku niejednemu pomógł. Był on medykiem i nie odmawiał pomocy nawet najbiedniejszym. Chciał jednak wiedzieć wciąż więcej i więcej, kiedy więc odkrył na strychu w starym kufrze magiczną księgę, zapragnął posiąść również tajemną wiedzę. Nie było to jednak łatwe i wiele bezsennych nocy spędził Twardowski na rozszyfrowywaniu starożytnych hieroglifów. Aż kiedyś, gdy zegar wybijał dwunastą godzinę, wykrzyknął nieszczęsny:

– I duszę diabłu bym odsprzedał w zamian za tę wiedzę!

I nagle stała się rzecz niesłychana. W kącie pokoju pojawił się jakiś czarniawy jękość, z maleńką bródką w szpic. Był to człek niezwykle elegancki i postawny i nic nie wskazywało na to, że może mieć jakieś złe zamiary, tylko kiedy zbliżał się do oniemiałego szlachcica, lekko utykał na prawą nogę.





– Czego waćpan sobie życzysz? – wychrypiał Twardowski. Do końca bowiem sądził, że ma do czynienia z jakimś spóźnionym potrzebującym, którego litościwa służka wpuściła do domu o tak późnej porze.

– Hm, czego ja sobie życzę? – nieznajomy zaśmiał się ochryple. – Może najpierw panie szlachcicu powtórzysz mi swoją prośbę?

Przeląkł się wtedy nie na żarty Twardowski, bo zrozumiał, kogo wezwał w złej godzinie pod swój dach. Przeląkł się i już, już znak krzyża chciał uczynić, lecz nagle opuścił zziębniętą dłoń.

– Oddałbym wszystko za magiczną wiedzę. I za skarby nieprzebrane. Za wieczną młodość i urodę – wyliczał jednym tchem, doskonale wiedząc, co diabeł zażąda w zamian. Jednak gościa nie przeraziły wygórowane żądania szlachcica. Czart uśmiechnął się tylko, błysnął złotym zębem i nie wiadomo skąd pojawił się w jego szponiastej dłoni gruby pergamin.

– Podpisz szlachcicu – uśmiechnął się szelmowsko.

– Najpierw przeczytam – wyjąkał roztrzęsiony Twardowski.

– Proszę bardzo – diabła nic nie zraziło. – Czytaj. Mamy czas do pierwszego piania koguta.

Rozbieganym wzrokiem omiótł Twardowski cyrograf. Raz, drugi, trzeci i nigdzie nie znalazł haczyka. Doczytał tylko, że wszystko, o co prosi, ma zapewnione do czasu, aż nie pojawi się w Rzymie i sprytna myśl zakiełkowała w jego głowie. Nie pojedzie nigdy, przenigdy do Rzymu, nikt go nie zmusi i tym samym wszystko, o co prosił, będzie miał na wieki. Nie zastanawiając się dłużej, podpisał cyrograf. Zaśmierdziało siarką, zaiskrzyło się, a diabeł zniknął. Tylko jego przeraźliwy chichot do rana dźwięczał w uszach Twardowskiego.

Od tej nocy Twardowski miał wszystko, o czym inni śmiertelnicy tylko pomarzyć mogli. Wiedzą swoją przewyższał niejednego mędrca, a i król niejedną pochyliłby głowę na widok kosztowności zgromadzonych w podziemiach jego dworku. Nie zapominał jednak o biednych i potrzebujących. Dalej leczył i wspierał okoliczną ludność, czasami nawet wyjeżdżał do innych miast czy krajów dalekich. Bardzo jednak pilnował się, aby nigdy, ale to przenigdy nie znaleźć się blisko Rzymu. Diabeł jednak spokojnie czekał i dopracowywał do końca swój szatański plan, bo jak wiadomo, kto raz zaprzedał duszę diabłu, ten się już ze swej obietnicy nie wywinie...

I tak mijały dni, miesiące i lata, a Twardowski zaśmiewał się w duchu, jak to mu się udało diabła przechytryć. Do czasu... Którejś deszczowej nocy ktoś załomotał do drzwi jego domostwa

– Mistrzu... panie... ratuj córkę – jęczał obdarty chłop, nisko pochylając głowę przed zaspanym szlachcicem. Po krótkiej opowieści medyk wskoczył na koń i pognał co tchu do

odległej karczmy na pomoc umierającej dziewczynie. A kiedy wszedł do środka... naraz obkoczyły go diabły, poszcypywały, przytupywały i szaleńczo płąsały. Wśród nich Twardowski dojrzał swego dawnego znajomego, z pożółkłym pergaminem w łapie.

– Ależ to jakaś pomyłka – zaśmiał się donośnie. Toć pod Krakowem jesteście.

Diabelskie oczy zwęziły się nagle.

– Ta karczma Rzym się nazywa! – zawył triumfalnie szatan, a jego pobratymcy zawtórowali mu, rycząc piekielnie. Twardowski pobladł i rzucił się do ucieczki, lecz za późno już było. Diabły pochwyciły nieszczęśnika i dalejże wlec go przez komin do piekła. I kiedy znaleźli się już na rozgwieżdżonym, granatowym niebie, zapłakał żałośnie pan Twardowski.

– Ach, jakże głupi i próżny byłem... cóż mi po skarbach i wiedzy, kiedy będę się smażył w piekle. Co mi po chwale i naukach tajemnych, kiedy nikt po mnie nie zapłaci. Moi ukochani dawno już pomarli. I zaczął modlić się tak żarliwie i gorąco, jak nie robił tego chyba nigdy. Przerazone diabły z obrzydzeniem odskoczyły od niego, kryjąc się w pobliskich chmurach, a on modlił się i modlił, aż w końcu zobaczył Księżyc. I tam też osiadł i po dziś dzień mieszka, rozmyślając o swoim postępku, który zawiódł go na srebrny glob.







ŻYWA WODA

*M*ieszkała kiedyś w niewielkiej wiosce uboga wdowa z synem Jankiem. Ciężko pracowała całe życie, aż w końcu zachorowała, i to bardzo ciężko. Usiadł więc Janek na progu chaty i gorzko zapłakał. A przechodziła tamtędy mądra zielarka, która powiedziała:

– Chłopcze, chodźże tu do mnie, ino szybko. Nie rozpaczaj, bo matka twoja jeszcze żywa, ale musisz jej pomóc. Musisz ty pójść chłopczyku po żywą wodę, aż na Sobotnią Górę. Jest tam źródelko, którego woda do życia przywraca. Ale musisz bardzo uważać. Strzegą bowiem tego miejsca niezliczone duchy, potwory i upiory wszelakie!

Ale chłopak już nie słuchał. Już biegł ile sił w stronę tajemniczej Sobotniej Góry. A kiedy dotarł w końcu do jej skalistego podnóża, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, bo wokół pełno było dziwnych kamieni i głazów, wyglądających zupełnie jak przerażeni ludzie.

Otrząsnął się jednak z niewesołych myśli i rozpoczął zmuśną wędrówkę po cudowne lekarstwo dla umierającej matki.

I kiedy był już prawie w połowie góry, usłyszał ogromny huk i spostrzegł, że wprost na niego schodzi kamienna lawina. Uskoczył więc sprytnie w bok, kryjąc się za wystającym skalnym załomem, lecz kiedy wszystko nagle ucichło, zrozumiał, że to tylko duchy góry rozpoczęły z nim swoją zabawę. Następnym był Czarny Rycerz z ogromnym mieczem, lecz i jego Janek się nie uląkł, a później piękna panna kusząca swą urodą i smakowitym śniadaniem w cieniu strzelistej sosny. Janek jednak niewzruszenie maszerował naprzód. Nie oglądał się ani na błyskawice, ani na grzmoty, ani na przeraźliwe jęki i krzyki za swymi plecami. I w końcu jego wytrwałość została nagrodzona – dotarł na szczyt.



Pięknie tam było tak, że aż dech w piersiach zapierało, ale Janek nie miał czasu na podziwianie widoków, tylko podbiegł od razu do maleńkiego i krystalicznie czystego źródła, bijącego wprost z ziemi. Chłopak przykląkł na kolano i pochylił głowę w podziękowaniu za dary, które wpływały teraz wprost do jego glinianego dzbanuszka. Napelniwszy naczynie po brzeg raz jeszcze podziękował górze za bezcenne lekarstwo i czym prędzej ruszył w drogę powrotną. Nic już teraz go nie straszło, nic nie ujadało i nie wyło. Nic go nie goniło ani nie zrzucało na niego kamieni. A za swoimi plecami miał tylko tych, których odczarował, skrapiając ich żywą wodą.

Dotarł w końcu Janek do swojej wioski, dobiegł do chałupy i drżącymi rękami otworzył skrzypiące drzwi. Jednym susem przyskoczył do matki, wlewając jej do spierzchniętych ust swój dar. Nie minęła chwila, a chora już wyskoczyła z łóżka i krzątać się zaczęła. Z tego, co w chałupie znalazła, obiad gotować zaczęła – dla synka swego dzielnego i dobrej zielarki, która przed chatką teraz w zamyśleniu wielkim stała i tylko głową siwą kiwała.

– Oj, szczęście i dobrobyt zagoszczą jeszcze w tej chałupie, gdzie ludzie zdrowi i tak szczęśliwi, i tak się kochają... Oj, szczęście i dobrobyt wielki jeszcze tu zagoszczą.



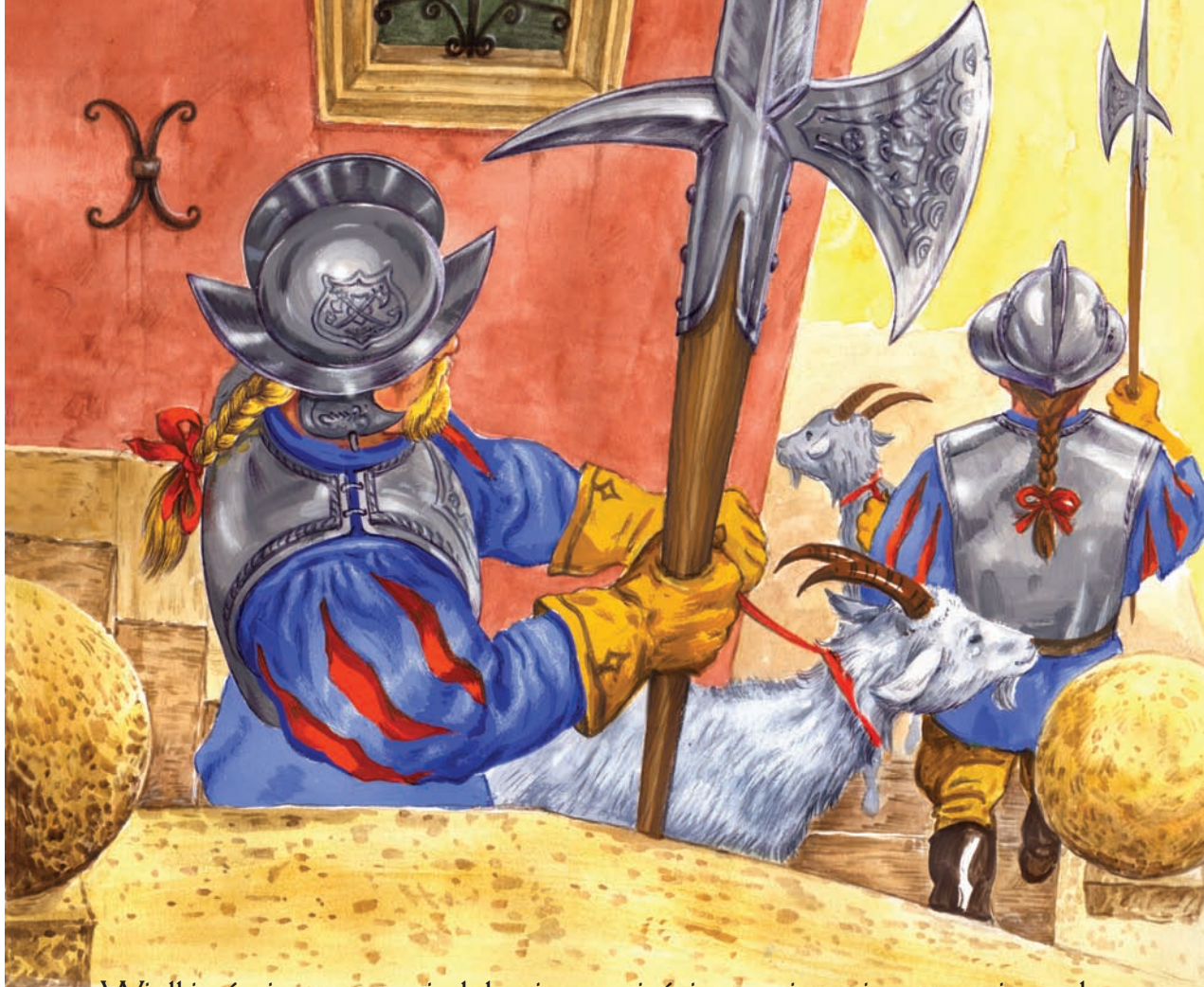


POZNAŃSKIE KOZIOŁKI

Dawno, dawno temu Poznań był jednym z większych miast. Rozwijał się szybko, a jego mieszkańcy rośli dumni wraz z nim, szczęśliwi, że żyją w tak bogatym i zasobnym miejscu. Włodarze Poznania wciąż rozbudowywali miasto, wprowadzając w życie swoje pomysły i zmiany. A to nowe, brukowane uliczki, a to kościółek, park, a to remont zabytkowych kamieniczek. W końcu postanowiono umieścić na ratuszu zegar, aby oprócz pięknego wyglądu zachęcał poznaniaków i przyjezdnych do punktualności oraz częstego bywania na wspaniałym rynku.







Wielkie święto zapowiadało się w mieście, ponieważ sam wojewoda ze swą małżonką mieli przyjechać na uroczyste odświeżenie zegara. Poznaniacy przystroili miasto girlandami kwiatów i z wielką niecierpliwością oczekiwali na rynku przyjazdu ważnych osobistości. Jeden pan Mikołaj ze swym pomocnikiem Pietrkiem nie byli obecni pod ratuszem. Od wczoraj bowiem przygotowywali ucztę godną samego króla. W pocie czoła dokańczali dania dla ważnych gości.

Jednak zmęczenie wzięło górę nad obowiązkiem i Pietrek zasnął, pilnując pieczeni, i przypalił ją. Zdesperowany Mikołaj pobiegł na poszukiwanie jakiejś zwierzyny, chociaż szczerze wątpił, by cokolwiek udało mu się znaleźć. Przecież wszyscy mieszkańcy byli na rynku! Pietrek miał jednak więcej szczęścia, niż gospodarz, bo zauważył przy domu zrzędlivej i nielubianej wdowy dwa małe, śnieżnobiałe koziołki. Podkradł się więc cichaczem, odwiązał je i czym prędzej pobiegł w stronę gospody Mikołajaja. I choć wiedział, że kraść nie powinien, to bardziej niż więzienia, bał się łapania i cięgow od rozeźlonego Mikołajaja. Nie wszystko jednak poszło zgodnie z planem. Koziołki bowiem ani myślały skończyć na rożnie. Wyrwały się i zapierały, aż w końcu udało im się zerwać postronki i pognać przed siebie, wprost w roześmianą i rozbawioną cizbę. Na rynku zrobiło się zamieszanie. Koziołki biegały, ludzie krzyczeli, dziatwa śmiała się i wrzeszczała, a właścicielka koziołków nawoływała do pomocy przy ich łapaniu. A na to wszystko nadjechał wojewoda.